

Marek Jastrząb

Po-ranne noce (18)

Słowo sprzedaż robi obezwładniającą karierę. Jest słowem kultowym. Podobnie jak niegdyś szałowy, fajowy, obłędny, odlotowy.

Kultowy, znaczyło dawniej – obrzędowy, rytualny, religijny.

Teraz kultowe jest wszystko, co się dobrze sprzedaje, ma powodzenie i cieszy się ponadprzeciętną oglądalnością. Kultowy może być sedes, rzecz jasna, jeżeli przedtem należał do popularnej gwiazdy.

Andrzej Wajda nakręcił film „Wszystko na sprzedaż”. Film, jak na tamten czas, obezwładnił mnie bezwzględnością moralnej oceny: myśl każdą i rzecz wszelką można opchnąć. Dzisiaj ziejąca z niego celuloidowa „prawda ekranu”, śmieszy mnie tylko swoją pocziwością, gdyż z biegiem dni łagodny okres groteskowego szpanerstwa przeszedł ewolucję: zwyrodniał, wynaturzył się, rozwinął macki i porósł w normę, która już nikogo nie dziwi. Do głosu dorwał się absurd, zgroza, zmienił w koszmarną wizję naszego upadku na kolejne dno. Sprzedawanie siebie jest hasłem na dziś i coraz częściej okazuje się, że produkt może być byle jaki, gdyż liczy się wyłącznie zysk. Przy czym utwór nie jest ważny.

Natomiast ważna, a nawet istotna jest jego sprzedaż.

Jeżeli książka spoczywa na odpowiedniej wystawie, to znaczy wbija się w czytelnice oko, leży z dala od magazynu, a w pobliżu medialnego rozgłosu, jeśli znani recenzenci raczą przeczytać i merytorycznie ocenić to, co znalazło się między okładkami, a rankingi potwierdzą ich werdykty, autor może chodzić w stepującej glorii fantazując o palmach i kokosach. Ale, by tak się stało, kandydat na wniebowziętego musi spełnić szereg warunków.

Pierwszym i niezbywalnym jest posiadanie finansowego zaplecza: literat marzący o intratnym opyleniu swoich prefabrykatów, musi mieć kasę na opłacenie sukcesu. W przeciwnym razie pozostanie mu niesmaczne przeświadczenie, że choć spłodził arcydzieło, to jego twórczość bardziej pasuje do pawlaczka, niż do splendorów; jakkolwiek jest znana nielicznym członkom rodziny, paru sąsiadom z bloku i jednej sklepikarce z osiedla, to przecież nie są to wystarczające powody do zadowolenia; chciałby być znany szerzej, otrzymywać dobre recenzje, pęcznić z dumy i nerwowo liczyć szmal. Chyba, że jako zamożny inaczej, zajmie się żebractwem; w tonie kuczno-błagalnym zamieści swoje płaczliwe

supliki i zdesperowane ogłoszenia skierowane do Literackich Instytucji, Fundacji i Stowarzyszeń Promujących Walkę z Kulturą.

Dołączy do dzielnej grupy dzisiejszych literatów żyjących współcześnie i stanie się własnym menadżerem. Absolutnie skutecznym profesjonalistą. Fachurą w każdej dziedzinie zahaczającej o twórcze i wydawnicze procesy. A więc musi umieć wszystko, lub prawie. Zrobić nieśmieszny korektę. Znać się na kosztach druku, łamaniu stron, właściwej czcionce, doborze odpowiedniego papieru, sensownej reklamie, szukanui i znajdowaniu niewidocznych SPONSORÓW.

Jednakowoż literat szukający wsparcia jak abstynent procentowych ambrozji, szybko dochodzi do wniosku, że takich jak on, jest przeszło więcej i chcąc wypłynąć na szerokie wody, musi razem z nimi tłuc się po niszach, piwnicach i straconych złudzeniach.

Gdyż ponieważ jak pisarz nie ma żyłki straganiarskiej, nie umie czy nie potrafi sprzedać swoich intelektualnych artykułów, znika z rynku w rytmie cza-czy i słuch o nim wędruje tam, gdzie ciemno, głucho i panuje zawzięte milczenie. Chyba, że cierpi na nadmiar gotówki i nie kłopotczy się wydaniem własnej książki.

Wtedy poleca fachmanom swój przyszły bestseller i już oni zadbają, by miała ręce i nogi, sprzedawała się jak Bóg przykazał i nie straszyla gustem, sam zaś może zająć się pisaniem. Ma wolną głowę i nie doskwiera mu upierdliwa myśl, że aby nabazgrać książkę, powinien być drukarzem, introligatorem, czy innym Gutenbergiem.

Credo ignoranta

Po co malować, pisać lub komponować? Picasso był, Rafael do spóły z Bachem także, podobnie Norwid, Chopin czy inne Mozarty do kupy z pozostałymi Van Goghami, wobec tego jaka idea w twórczym przetwarzaniu ich dzieł? W inspirowaniu się nimi? Byli, ale się zmyli. I koniec tematu. No, a poza tym wykorzystywali w swojej twórczości wciąż te same i do zerzygania marudne zestawy, aparaty, narzędzia do produkcji dzieł: pisali za pomocą kombinacji liter alfabetu posługując się stereotypowymi znakami przestankowymi i niemodną ortografią, pacykowali banalnym końskim włosiem, bębniłi po szablonowym klawicymbale, słowem – nie robili niczego odkrywczego, bo wszystko już było jak łupież. A więc dajmy sobie spokój z nudną przeszłością, zamknijmy ten rozdział i idźmy do

przodu.

Po cóż być kulturalnym w przestarzałym stylu, chorobliwie ciekawym różnorodności świata, jego umiejscowienia na mapie naszych pragnień, dążeń, aspiracji? Na jaką cholerę mamy ślęczeć nad poznawaniem historycznych korzeni, wiedzieć cokolwiek więcej od Neandertalczyka, mieć apetyt na świadome życie skoro mamy Internet, komputery i telewizję talerzową? Po co szkoła, studia, codzienna mordega z ponurą rzeczywistością i czy nie lepiej imprezować, plotkować bądź uprawiać sybarytyzm?

Czy nie wystarczy nam, że nie musimy myśleć i duchowo rozwijać się, bo myślą za nas i dbają o nasz mentalny rozwój ci, których nazywamy swoimi przywódcami, elitą, wybrańcami narodu?

Rekrutuję się z wyśmiewanych czasów, gdy słowo wolność oznaczało wolność, a nikt na serio nie ośmiewał się jej interpretować jako DOWOLNOŚCI. Nikt też – bez narażania się na kpiny – nie dokonywał definicyjnej woltżerki tego słowa. Tak samo jak nikomu rozsądnemu nie zdarzało się mylić człowieka honoru z szubrawcem, kija z marchewką i plucia z deszczem.

Szara strefa literatury

Nie ludźmy się: większość pisarzy odwała robotę na czarno.

Począwszy od publikowania tekstów za Bóg zapłać, a skończywszy na wydawaniu książek własnym przemysłem. Przy czym warto pamiętać, że teksty bezpłatne mają zazwyczaj wartość ceny. To znaczy od utworów pisanych za darmo nie można zbyt wiele wymagać.

Są jednak pasjonaci dbający o wysoki poziom swoich periodyków i za nic w świecie nie opublikują byle czego. Potrafią zainspirować autora, wymóc na nim, by zamówiony tekst miał ręce i nogi i nie był gniotem. Lecz to rasa niedzisiejsza, ginąca w natłoku tandeciarzy, zasilająca odchodzące kadry miłośników rzetelności.

Tym bardziej należałoby ją hołubić, doceniać, że jest, że jej się chce, że choć jest ich co prawda coraz mniej, to przecież, na przykład kłodom rzucanym im pod nogi – są. Animator, człowiek utrzymujący własnym kosztem własne pismo, zamieszczający w nim artykuły trzymające poziom, to wyglup natury, podejrzany osobnik. W małostkowych

(Dokończenie na stronie 4)